№ 29.

Warszawa, dnia 16 Lipca 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.——Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEŃ W. G.

(Dalszy ciąg)

KOSZARY GRENADJERSKIE, PRZYBYCIE DO SZWADRONU.

Gdyśmy przyszli do koszar, zdziwił mnie i zachwycił porządek, czystość i owa dokładna symetryczność w każdym kąciku i elegancja w salach żołnierskich, owe prycze, każda na dwóch porządnie zaścielona, owe piramidy z broni, kaszkietów i przyborów około ścian poustawiane. To zaś jakby w małéj republice koleżeńskie życie, dążące do jednego celu, zawsze czynne i pracowite, a jednak jak mi się zdawało wolne od trosk i obawy na przyszłość: ta monotonna, a jednak pełna obrazowości jednostajność, cóś niby poetycznego w całém urządzeniu, zajęło mnie szczerze, i już wachałem się i biłem z myślami ażali na prawdę u grenadjerów nie zostanę.

Po skończoném apelu, zgromadziło się z piętnastu podoficerów i kadetów do jednéj mniejszéj sali, gdzie stał sierżant kompanji. Żołnierza nie było tam żadnego, bo prosty żołnierz razem z podoficerem w jednem miejscu nie mógł się znajdować, a podoficer z oficerem. Moi znajomi obmyślili wszystko należycie, rozumie się, że za moje pieniądze, żebyśmy się nie nudzili i żebym dał się poznać godnie, zwłaszcza sierżantowi kompanji i podoficerom jako w przyszłości najbliższéj méj zwierzchności, a kadetom jako nowym moim kolegom. Było co pić, była i przekąska, gadało się to o tém to o owém, a kiedy się mnie dosyć nawypytywali, z kąd jestem, jakiéj kondycji, gdziem i czego się uczył, prosiłem także aby mi cóśkolwiek opowiedzieli zajmującego ze swojéj przeszłości. A że humory były już wesołe i na tym punkcie, gdzie człek zaczyna uczuwać potrzebę albo poufnego wylania się, albo doznanych wydarzeń wspomnienia, lub zwierzenia się z troski, więc sierżant kompanji stary wiarus, z trzema szewronami na ręku, co znaczyło 20 lat

służby i ozdobiony krzyżem legji honorowéj, pociągnąwszy ze szklanicy, zapaliwszy zgasłą fajkę, pokręcił sumiastego wąsa i tak zaczął:

— Mój bracie! nie z jednego się to już pieca chleb jadło, bo na przyszły rok, jeżeli Bóg da zdrowie, należy mi się czwarty szewron, a więc i 25 lat przesłużone. Za dawnéj organizacji wróciwszy z wyspy Domingo, służyłem w huzarach Umińskiego. Ależ cóż? na rekonesansie djabeł mnie z koniem wepchnął w jakąś wilczą jamę, bo choć oko wykol ciemno było, a konia miałem warjata. Zwaliła się więc bestja na mnie i piersi kulą od kulbaki zgniótł. Leżałem w szpitalu czas niemały, a wyszedłszy mając słabe piersi, podałem się o przeniesienie mnie do piechoty, bo do domu wracać nie miałem ochoty, jeszcze w czasach, kiedy należąc do armji francuzkiéj, człowiek nie mało znaczył na świecie. Otóż Kampanją rosyjską odbyłem już jako piechur, a w przejściu przez tę djablą bagnistą Berezynę, nie tyle przecieć piechota ucierpiała jak konnica. Za to w rejteradzie było kuso, ale my nie tak zważaliśmy na zimno jak ci biedacy francuzi, a szczególniéj rabusie Westfalczycy. Padali też jak muchy na drodze.

Późniéj pod Lipskiem jak wiadomo, zasłanialiśmy odwrót Francuzom. Nieprzyjaciel tuż nacierał, palił do nas z dział i ręcznéj broni. Ja na szczęście byłem na przodzie naszego korpusu, i ledwieśmy przeszli most, aż tu puf! most poszedł w powietrze a nasi zostali na drugim brzegu. Czyja to była ta szatańska sprawa? nie wiadomo. W jednéj chwili rzeka Elster napełniła się płynącemi, co woleli ginąć jak się poddać. Mało kto przebrnął szczęśliwie. Nasz Książe Józef widziałem jak się stoczył z konia, bo trzy razy już był ranny. Płakałem jak dziecko, ba! to nie tylko ja płakałem. Ale jak nie było płakać kiedy poszedł na dno i zniknął na wieki, a rady żadnéj dać mu nie można było, *sacredieu!*

Marszałek Francji Macdonald, co tuż za księciem płynął, byłby doznał tego samego losu, bo koń jego nie mógł się wydrapać na wysoki przeciwny brzeg, już się walił w tył gdym przypadł, porwał szczęśliwie za cugle, pociągnął silnie, tak że koń się wygramolił i marszałka ocaliłem. Choć to było w popłochu miał jednak tyle czasu, że oderwał ze swoich piersi wstążkę co widzicie przy moim krzyżu, i dał mi ją rzekłszy tylko.

—„Merci camérade, souviens toi de me trouvez apres l'afaire."

Co znaczy tyle... no! ale przetłomacz to nam panie studencie, jeżeliś darmo kaszy w szkołach nie jadł, to ja zaraz tu poznam."

Uśmiechnąłem się, ale byłem kontent, że się popiszę z moją znajomością języka francuzkiego. Wytłomaczyłem im tedy, że to znaczyło:

— „Dziękuję ci kolego, nie zapomnij mnie poszukać po skończonéj sprawie."

— „A brawo! bardzo dobrze, tak w rzeczy saméj.

— „I cóż? spytaliśmy się wszyscy, widziałeś marszałka?

— „A jakżeby było? przecieć musiałem marszałka usłuchać kiedy kazał. A potém cóżby mi było po wstążce, gdybym był nominacji nie dostał na papierze? Ale dopiéro pod bitwą pod Hanau udało mi się znaleść porę, zameldować mu się w jego obozie.

— „C'est bien, c'est bien" rzekł jak mnie ujrzał merci, encore une fois, merci mon brave!

Ścisnął mnie za rękę, do któréj mi chciał wsunąć kilka luidorów.

Sacredieu! markotno mi się zrobiło, ale wolno mu było człowieka probować. Więc wskazując na piersi rzekłem z uszanowaniem:

— „Mon Prince! jestem wynagrodzony należycie, upraszam tylko o patent na krzyż."

Uśmiechnął się, ścisnął mnie jeszcze za rękę i powiedział:

— „C'est bien de votre part, tu est brave et homme d'honneur, je me souviendrai de toi."

I kazał mi iść ze swoim adjutantem do szefa sztabu, który mi wręczył patent na krzyż legji honorowéj. Do pułku zaś na drugi dzień przyszedł rozkaz dzienny, w którym ogłoszono przed frontem, że za uratowanie życia marszałkowi, zostaję ozdobiony *legją*, a nadto w dowód zadowolenia jego z mojéj osoby, posunięty na podoficera. No! przyznacie że to więcéj było szczęścia jak zasługi, bo to samo każdy, największy nawet poltron byłby zrobił. Ale w wojsku, tak jak w całym świecie, jak fortuna frontem się do kogo obróci, to mu wszystko idzie jak chleb z masłem, a niech się kto inny jak chce stara i zabiega, kiedy się licho uweźmie na niego, to mu nic nie pomoże, zawsze będzie w tyle i na dole....

Nazajutrz po tych gawędach przedstawiony zostałem jenerałowi Żymirskiemu, lecz ten żałując mocno, że już ma wielu kadetów w pułku, nie przyjął mnie. W duszy rad, że mam teraz sam przed sobą wymówkę, zostałem ułanem pierwszego, najpiękniejszego w całéj armji pułku. Stał on tylko na jeden rok służbowy w Warszawie, garnizonował zaś zwykle w Podlaskiem. Przeznaczo-

no mnie do szwadronu II stojącego na Pradze, i odesłano tam przez podoficera.

Był to mroźny, wietrzny grudniowy wieczór. Szwadron przed długą stajnią stał sformowany w dwa szeregi do apelu. Przed frontem chodził w kurtce, baranami podbitéj z harapem w ręku, około pięćdziesiątletni, z obwisłemi nad oczami płowemi brwiami i ogromnemi wąsami, w towarzystwie oficerów, komendant szwadronu kapitan Jarosiewicz. Zbliżywszy się na 15 kroków odprowadzający mnie podoficer, szepnął do ucha abym zdjął czapkę. Zrazu wpatrzyłem się w niego wielkiemi oczami, bom pojąć nie mógł, żeby człowiek dobrze wychowany, był kiedykolwiek wystawiony na konieczność stania przed kimkolwiek z odkrytą głową, w postawie służebniczéj. Szedłem więc daléj, nie zważając na przestrogę, ale za chwilę gdyśmy o parę kroków od kapitana byli, mój podoficer ujrzawszy moją cywilną czapkę dotąd na głowie, konwulsyjnie prawie szarpnął mnie za rękę i przytłumionym zawołał głosem:

— „Czapka z głowy!

Cóż było robić? nie było już czasu do namysłu, ani do walki. Zdjąłem więc czapkę, ale przyznam się, że w téj chwili uczułem w duszy, cóś, jakby żal za matką, za szkołami, za osobistą moją niezależnością, nawet za stryjem. I ogarnęła mną jakaś trwoga, bo ta uroczysta cisza, te kilkaset figur ludzkich jak lalki na szachownicy ustawione, które wolą lub grymasem jednego człowieka, to stały nieporuszone jak drogoskazy, to się kręciły w lewo, w prawo, to wykręcały się na piętach, a wszystko ponuro, cicho, milcząco bez szelestu, jakby je jedna tajemna poruszała siła, przykre na mnie uczyniły wrażenie i jakieś ściśnięcie serca, coś jakby złe przeczucie, zwątpienie przystąpiło do mnie.

— „Melduję p. Kapitanowi” rzekł podoficer służbowym tonem i miarowym do Kapitana przystępując krokiem.

— „A co tam nowego? zapytał odwracając się Kapitan z mazurska grubym gardłowym głosem:

— „Przyprowadzam ochotnika, przeznaczonego do szwadronu drugiego.”

Kapitan z pod gęstych brwi, spojrzał teraz dopiéro na mnie, stojącego we fraku i letnim wreszcie ubiorze, z czapką w ręku z dość niepocieszną miną. Obejrzawszy mnie od stóp do głów, rzekł w końcu z niechęcią:

— „Hm! co mi potém? a co ja tu z nim będę robił? Tu ludzie sami wyrobieni, nie ma czasu uczyć rekrutów, a zkąd to wason? Hę?

— „Z krakowskiego” odrzekłem.

— Hm! ztamtąd dobrzy jeżdzcy i wasan masz długie nogi, to powinieneś być zręcznym do konia. Ale trzeba ci było jeszcze do lata chociaż, u mamuni kaszkę z mlekiem papać, bo to w zimie twarda służba u nas, a do tego, dla takiego jak wason dziecka. A no! Wachmistrzu! a daj mu tam kwaterę z jakim starym żołnierzem, żeby go ze służbą oznajmił. A jak się zowiesz?

Powiedziałem mu swoje nazwisko.

— „Szlachcic?”

— „Tak jest panie Kapitanie.”

— „No! to wason pamiętaj na siebie i bądź porządnym żołnierzem, jeżeli chcesz żeby ci u nas dobrze było.”

Takie było przyjęcie mnie i początek téj nowéj karjery.

Na kwaterze jedno łóżko szerokie, na którém zasłane było grube prześcieradło, dwie poduszki wypchane słomą i dwa koce. Ja przybyłem jeszcze jeden, przydano więc trzeci koc i takąż poduszkę, a łoże miałem dzielić wspólnie, z memi nowemi współtowarzyszami. Jeden z nich był młody, dopiéro co z rezerwy do pułku przybyły, przeszłoroczny rekrut, a drugi ponury, stary, ale poczciwy Napoleoński jeszcze wiarus, który nam obydwom miał służyć za dziadka, to jest za mentora i nauczyciela początkowéj służby.

— „No! roztasuj się panie kolego” rzekł do mnie przybywszy do kwatery, dziś zjedz z nami co tam nagotowano, a jutro fasunek chleba i mięsa, więc będziesz miał swoją porcję.”

— „Mniejsza o chléb i mięso” odrzekłem, mam jeszcze za co żyć, byle mundur dostać.

— „O to będzie trudno, bo tu nie ma nadkompletnych ubiorów, komora została w garnizonie, chyba ktoś ubył.”

Nie pojąłem znaczenia ostatniego wyrazu i nie pytałem o to. Gospodyni bowiem postawiła na stole miskę z krupnikiem z którego dwa kawały mięsa wyglądały. Na rozbitym talerzyku przyniosła troszkę szaréj soli, i położyła obok trzy drewniane łyżki. Zaproszono mnie więc do téj pierwszéj, rzetelnie żołnierskiéj wieczerzy, w któréj niepoślednie miejsce trzymał sławny *brykała*, chleb żołnierski, jak kamień wypieczony ale dosyć smaczny, a nawet przy tęgim głodzie, o co nie trudno, kapitalny! Prawiem nic nie jadł. Dziadek pokiwał na to głową i jak na przekór memu przekonaniu, rzekł:

— Wyborny krupnik! szkoda tylko że mało. Oho! paniczu, doczekamy się tego, że ci ta nasza żołnierska strawa tak zasmakuje, że nie popatrzysz nawet na żadne tam *melszpejzy*, choćby cię niemi i częstowano. Bo to mosanie nie ma jak krupnik który zawsze i wszędzie jest za nami,

sztuk uczciwéj wołowiny z solą, a do tego brykały jak podjesz sobie, toś silny jak dąb. Bo brykała! to nie żaden pytlowany niemiecki jakiś tam *zemel*, co do daru bożego nie podobny. Ot! bracie kolego, chcesz być żołnierzem jak Bóg przykazał, wierz w krupnik, w wołowinę i w brykałę. Reszta to tylko czartu na pociechę, a nie chrześcijańskiemu człeku.

Za całą odpowiedź, westchnąłem sobie tylko.

W nocy długo bardzo rozmyślałem nad tém nowém nie bardzo w różowych kolorach przedstawiającém mi się położeniu mojem, i gdy mi się zdało żem dopiéro co usnął, uczułem się trąconym w bok od mego kolegi. Zerwałem się a widząc głęboką noc, zapytałem dla czego mnie budzi?

— „Trzeba wstawać" rzekł do mnie.

— „A to po co?" i gdzie na taką noc?

— „Pobudkę trąbią, już czwarta godzina, czas więc do stajni."

— „Winszuję" pomyślałem sobie, „pięknie się zaczyna owe zachwalone ułańskie życie!

— „Ależ ja tam nie mam po co chodzić, bo konia nie mam."

— „Ale ja mam" odrzekł nieubłagany stary wstając, „trzeba się przypatrzyć i uczyć, chociaż teraz na cudzym, jak się to konia czyści, karmi, poi, kulbaczy i t. p. to potém jakbyś znalazł tę naukę gdy swego dostaniesz. A czy ci to zresztą bracie dziwota ranne wstanie? Przecież jak zauważam, musisz być albo z dworskiéj służby, albo od jakiego cechu, a tam jak jedni tak drudzy, kiedy dobrzy gospodarze, to czeladzi nie dozwalają dosypiać.

— „Za co on mnie bierze? pomyślałem sobie, a krew mnie z oburzenia sunęła się do głowy. Ale nie chciałem się tłumaczyć, więc wstałem ziewając. Oni opięli się w płaszcze, ponakrywali się do tego końskiemi derami, a ja we fraczku, o godzinie czwartéj rano w końcu Grudnia, od rogatek Grochowskich, aż pod most, gdzie były nasze stajnie, biegłem chuchając w ręce i drżąc od zimna. Widząc to stary, nic nie powiedziawszy, zarzucił na mnie końską derkę, bo z pewnością byłbym przemarzł. Poczciwy stary!

Tak było co dnia przez parę tygodni. O mundur doprosić się nie mogłem, bo ich nie było w Warszawie. Służby nie robiłem żadnéj, co mnie mocniéj bolało i poniżało w oczach wiary, chciwéj na pochwycenie każdéj śmiesznéj strony, gdzie się tylko takowa nadarzyła. Byłem więc wytykany palcami, i przedmiotem zawsze niekorzystnych dla mnie, rozlicznych domysłów i satyrycznych uwag. Ileż to razy w kącie nie zapłakałem sobie rzewnie nie raz, na moją lekkomyślność, gdy zziębnięty, źle okryty, musiałem dla praktyki w cywilnym ubiorze siano lub owies z workiem na plecach nosić, kilkanaście bochnów chleba, ćwierć mięsa komiśnego, lub wodę ciągnąć ze studni i nosić w kuble dla konia mego dziadka. O! w takich chwilach doznawałem niepojętego żalu, za tą, jakąkolwiek ona już była przeszłością, niepowrotną jednak dla mnie. Tylko pamięć na matkę, na jéj rady, i religja którą tak głęboko we mnie wpoiła, ochraniała mnie nieraz od rozpaczy i męztwa dodawała. Jednak moja duma i młodzieńcza próżność, raz jeden na wielką próbę wystawione zostały, o czém Wam w dalszym ciągu opowiem.

(d. c. n.)

---

* * *

Ze wszystkich krajów samochwalczéj Europy stawiającéj się nie wiem dlaczego, na czele cywilizacji całego świata, dochodzą bardzo smutne wiadomości, o ulewach, burzach, gradach, powodziach, obrywaniu się chmur, wezbraniu rzek, i rozlicznych klęskach jakie przez nie spadły na mrowiący się lud Boży, w ciernistéj już i tak drodze żywota. Z powodu ciągłych deszczów, Anglja lęka się w pszenicy śnieci.

Wołoszczyzna cała prawie zalana wodami, wygląda jak wyspa, wieżami kościołów i wierzchami wyniośléjszych gmachów, dźwigająca się z pośród morza ku niebu. W wielu miejscach zasiewy przepadły, dobytek potonął, a w samym Bukareszcie, kilka dzielnic zupełnie znajdują się pod wodą tak że książe Kuza objeżdżający konno ulice, niektóre punkta musiał przepływać na łodzi. Serbja także na deszcze narzeka, a w Galicji huragany wydzierając chmury niebu, z taką wściekłością rzucają strumienie wody, że niektóre miejsca potopowym niemal ulegają przemianom. W powiecie Krynickim np. w kilkunastu wsiach, zasiewy zupełnie znikły, pola zaś w części zasypane kamieniami zamieniając się na najzupełniejsze nieużytki. W innych miejscach, z pochyłości gór, prąd wody zebrał całą warstwę rodzajną zostawiając spodni pokład skalisty, który dopiéro może po upływie wieku, okryje się jaką taką roślinnością. W Wirchomli małéj, woda zabrała kilka sztuk bydła i tak poszarpała bałwanami pędzących stru-

mieni, że zebrane z nich szczątki były zupełnie nie do użycia. W Przemyślu pod starym mostem, przez jedną noc tyle nagromadziło się rozmaitego drzewa, gałęzi i kloców, że piętrzącą się te barykadę, zaledwie miejscowe władze z wielkim mozołem potrafiły usunąć. W Delatynie zaś w Stanisławowskiem, fale porwały cały drewniany budynek i to tak nagle i niespodziewanie, że znajdujący się w środku terminator szewcki, w czasie snu z budowlą został uniesiony.

Gdy tak w Galicji pomniejsze rzeki, jak Bystrzyca, Tyśmienica, Czerchama i górskie potoki do niepamiętnéj od wielu lat dochodzą wysokości, Wisła w całym majestacie swéj strasznéj potęgi, warcząc pieniącemi się bałwanami, zalała pod Warszawą całą Saską Kępę, wyglądającą obecnie jak olbrzymi pęk zieleni utkwiony w naczyniu którego brzegi nikną gdzieś daleko. Piękny to widok ale bolesny zarazem, gdy się pomyśli o nieszczęśliwych nadwiślanach, którym woda może zabrać owoc całorocznéj pracy, i niejednego doprowadzić do zupełnéj ruiny. Jako zapowiedź tych smutnych a przewidzianych nieszczęść, bałwany wiślane niosą na swoich grzbietach rozmaite szczątki zniszczonych w górze nad brzegiem przedmiotów, które odmienną barwą wśród mętnéj otchłani, to wyskakując to zatapiając się, nadają wiśle szczególną ruchliwość, groźną, smutną, a nawet straszliwą.

To też prąd warszawskiéj publiczności, przesyconéj podobnego rodzaju widokami, osamotnił niemal zjazd nowy, oddając go w zupełne posiadanie nielicznych marzycieli, lubiących myślą igrać z biegnącemi szparko falami, i w tajemniczych ich głębiach szukać utworów własnéj wyobraźni: sam zaś zwrócił się w przeciwną stronę ku ogrodowi Botanicznemu, zawadzając i o Saski, i jak wstęgami przystroił chodniki Nowego-świata i alei, ruchliwém gronem Warszawianek i Warszawiaków. Środkiem zaś nieprzerwanym sznurem przebiegały w dwóch przeciwnych kierunkach, powozy i dorożki darzące na szczęście, już nie tumanami nieznośnego pyłu, ale tylko trajkotem, mogącym omdłałego przywołać do zmysłów. Oba te ogrody jak zwykle w każde święto, okryły cieniem swych drzew rozłożystych, tysiące szukających chłodu i świeżego powietrza, przechadzano się, oglądano, obmawiano, zazdroszczono, plotkowano, i gdy słońce zaczęło się kryć po za mury miasta, tłumy wyruszyły z miejsca przechadzki, rozdzie - liły się na wszystkie ulice, i w krótce kółka rodzinne w ciszy i spokoju zasiadły przy dymiących się szklankach herbaty aby pogwarzyć, i z listków poetycznéj wyobraźni uwić wieniec perlący się kroplami rosy, a barwiący cudnemi kolorami tęczy. W godzinę późniéj, cisza zaległa ulice, i Warszawa w spoczynku nocnym przygotowała się na trud i zabiegi całego tygodnia.

Mówiąc o huraganach, powodzi i jak powiada jedno z pism tutejszych, *klęskach elementarnych*, tak nazwanych nie od *elementarza* ale zapewne od *elementów*, przyszedł mi do myśli p. Mathieu znany wróżek pogody w Paryżu, przepowiadający dla Wenecji straszliwą burzę od d. 29 Listopada do 3 Grudnia b. r. w któréj rozhukane żywioły przedstawią widowisko, jakiego bieżące stulecie, jakkolwiek bardzo ciekawe, jeszcze nie widziało. Ochotników podobno na termin ten, dosyć wybiera się do Wenecji... biedacy! zapominają, że huragan i burza własnych namiętności, szpicrutowana sobkostwem, to straszliwsze widowisko, jak łomot piorunów i siarczysta powódź.

ASTROLOG.

(BAJECZKA).

Kiedyś, kiedyś — pan wielmożny,
Gdy wydawał jedynaczkę,
I o syna swego trwożny,
Co wyjeżdżał na wojaczkę...
Zamiast duszę wznieść do Boga,
Kazał przyzwać Astrologa...
Ten szkła swoje wnet rozstawił,
Czytał niby w Niebios stopie,
Potém wieszczby swe objawił,
W tajemniczym horoskopie.
Lecz niestety! każde słowo,
Jak chcieć dało się tłumaczyć,
Bo z nich każde, to i owo,
W danym razie mogło znaczyć.
Więc wypędził Astrologa,
A swą dolę zdał na Boga...
I z modlitwą, by niezbłądzić,
Badał w duszy Jego wolę,
Córce, dał się sercem rządzić,
Syna, śmiało wysłał w pole...
Potém sobie, tak jak pierwéj,
Sejmikował, gospodarzył,
A pracując tak bez przerwy,
Wcale się na los nieskarżył...
I powrócił syn z wojaczki,
Choć rok cały powrót zwlekał,
A od swojéj jedynaczki,
Ślicznéj wnuczki się doczekał.

A więc i my bez narzekań,
Gdy nas jaka zdejmie trwoga,
Zamiast do wieszczb i dociekań,
Uciekajmy się do Boga.

Jan Prusinowski.

Nowości Zagraniczne

Journal des demoiselles. Wszystkie magazyny zajęte dziś przygotowaniem letnich ubrań, przeznaczonych na wiejskie wycieczki lub do kąpieli morskich. Z tych ubrań wszystko da się zastosować do miasta, oprócz kapelusików okrągłych, które na bruku Paryzkim nie właściwie się przedstawiają.

Suknie z moheru, alpagi, bareżu, linonu, popielate w różnych odcieniach, należą dziś do najmodniejszych. Zdobią je pasmanterją, plisą jedwabną, lub kilkoma rzędami aksamitki. Z poza ostatnich rzędów, wychodzą płaskie pukielki z takiejże aksamitki, złożonéj we dwoje, co ładnie i świeżo wygląda. Robią zwykle osobną spódniczkę z zuawką lub krótkim paletocikiem. Ten rodzaj ubrania ma jeszcze tę dogodność że w wielkie upały można nosić tę samą spódniczkę z białą koszulką, w chłodne zaś wieczory i poranki, można włożyć na wierzch ciepły flanelowy kaftanik.

Wielka rozmaitość daje się widzieć w tegorocznych szmizetkach. Do codziennego ubrania noszą białe półbatystowe z płóciennym kołnierzykiem i takiemiż mankietami. Do sukien fularowych lub bareżowych, szmizetka bywa muszlinowa, garnirowana walansienką. Młode panienki noszą szmizetki wycięte u szyi czworograniasto, i obszyte w górze walansienką. Wiele także widać koszulek fularowych niewarowego koloru, gładkich lub w drobny rzucik. Te ostatnie używane na rano. Płótno meksykańskie szare, powszechnie dziś przyjęte na ranne spódniczki z takimże paletocikiem lub kaftanikiem. Dla dzieci zwłaszcza zalecamy ten rodzaj ubrania, trwały a niekosztowny.

Pończochy niewarowe i popielate, gładkie albo w drobne czarne paski, używane są koniecznie do podróży, lub na dnie słotne. Ostrzegamy jednak że te pończochy do jasnych sukien letnich, nie właściwie wyglądają. Pod jasną suknię, niewłaściwa też kolorowa spódniczka. Do lekkiéj sukni, niewłaściwe grube obówie. Przypominamy tu że harmonja jest piérwszym warunkiem gustownego ubrania.

W czesaniu włosów niewidać żadnéj odmiany. Nioby zbliżone do siebie krepowane na szpilkach należą zawsze do najmodniejszych. Warkocz ułożony w wielki kok, pojedynczy albo podwójny, pokryty niewidzialną siateczką, pokrywa tył głowy.

Wyroby szkockie w kratę, tak używane w roku zeszłym na suknie i okrycia, ustąpiły dziś nowéj modzie. Zamiast krat, przyjęta dziś szachownica. Widziemy takie materje, fulary i tkaniny wełniane.

Suknie z białéj alpagi, powszechnie się podobają. Wyszywają je sutaszem, lub też zdobią wstążką układaną w ząbki. Ładnie też wyglądają takie suknie naszyte czarną wstawką koronkową na szwach brytów, i u dołu spódnicy. Paletocik odpowiednio przybrany, zastępuje miejsce stanika. Dla młodych osób, właściwszy jeszcze kaftanik z krótką baskiną, otwarty z przodu, na białéj półkoszulce. Jeżeli spódniczka wyszyta kolorowym sutaszem, wtedy pod kaftanik kładzie się kamizelka jedwabna, odpowiedniego koloru. Dół spódniczki obszywa się zwykle wązką bardzo fałdowaną wstążeczką.

Suknie fularowe należą zawsze do najmodniejszych. Biały fular używany do większego ubrania. Na ulicę noszą suknie z fularu popielatego lub hawanna gładkie, lub w niewydatny rzucik. W domu używany bywa na suknie fular w wielkie bukiety i gałęzie.

Le follet. Materje tak wełniane jak jedwabne, używane na letnie suknie, bywają zwykle w drobny groszek, ciemniejszego koloru. Staniki robią do nich w kształcie fraka, z przedłużoną z tyłu baskiną. Wyłogi u tegoż fraka powinny być tego koloru jak rzucik.

Suknie bareżowe, i z gazy Szambery, zdobią u dołu kilkoma wązkiemi falbankami. Frendzla biała z wełny lama, przerabiana czarnemi perełkami używana też do ozdoby sukien. Na wieś przyjęte dziś powszechnie suknie pikowe białe, lub też z niewarowego batystu, wyszywane sutaszem. Miejsce stanika zastępuje westka czyli kaftanik otwarty z przodu na kamizelce, lub koszulce półbatystowéj.

Kapelusze mają ronda zupełnie spłaszczone nad czołem. Podobniejsze one do czepków niż do zwyczajnych kapeluszy. Miejsce karczka zastępuje u nich kokarda z długiemi końcami. U niektórych rondo bywa ze słomki ryżowéj lub Brukselskiéj, główka zaś przezroczysta, tiulowa lub koronkowa czarna. Pióra i kwiaty spadają na tył główki, z pod któréj wychodzi warkocz pokryty siatką jedwabną.

Do ubrania kapeluszy i na szarfy używane dziś

wstążki w wielkie bukiety *chinée*. Zamiast szarf zalecamy użycie szerokich pasów morowych z wielkiemi klamrami. Pasy te zowią *ceintures Empire*, gdyż takie noszono za dawnego cesarstwa.

Wszystko zapowiada, że z zimą, przyjęte zostaną mody, z czasów Napoleona 1. Staniki bowiem coraz bardziéj skrócają, a rękawy dzisiejsze przystają prawie do ręki.

Okrągłe kapelusze przybrane piórami bażantów, należą dziś do najmodniejszych. Z przodu zdobią je kitką, przytwierdzoną ozdobą z konchy perłowéj. Pióra nie spadają jak dawniéj na tył kapelusika, lecz tworzą jakby bukiet, ułożony do koła kitki.

Młode osoby noszą powszechnie paski czyli gorseciki szwajcarskie, które moda nadzwyczaj urozmaica. Jedne z nich mają z tyłu baskinę w kształcie fraczka, inne mają szelki przechodzące przez ramię. Niektóre z nich robią z saméj pasmanterji.

Dla cokolwiek starszych osób, przyjęte powszechnie na lato kaftaniczki z białego fularu *Shangaï*, wyszyte jedwabnym sutaszem, spięte na opalowe guziki. Inne znów obszywają pasmanterją zgrelotkami.

Pojawiło się wiele sukien, obszytych kilka razy nad obrębem, taśmą przerobioną w Turecki deseń, na kształt szlaczka używanego do chustek. Paletocik lub kaftanik zuawski, naszyty brzegiem odpowiednio, bardzo ładnie dopełnia całości.

Suknie białe muszlinowe albo organtynowe, zdobią u dołu kilkoma rzędami białéj lub czarnéj wstawki koronkowéj.

Suknie letnie bareżowe i moherowe, najmodniejsze są w kolorze popielatym bardzo bladym, lub też kolorze *Hawanna* w różnych odcieniach zacząwszy od szamoa, aż do ciemno orzechowego.

Petit courier des dames. Toaletę kobiecą podzielić trzeba na trzy rodzaje: do wyjścia na ulicę, na wizyty i na wycieczki wiejskie. W odpowiedniem ubraniu polega właśnie dobry gust i cała sztuka wytwornéj elegancji.

Zacznijmy od obuwia. Najmodniejsze *buty*, bo nie buciki damskie robią ze skóry żółtéj albo ze skóry angielskiéj satynowanéj w kolorze: czarnym fijołkowym, zielonym i przeróżnych innych barwach, stosownych do koloru sukni. Pończochy muszą bydź w odpowiednim kolorze z jedwabiu albo bawełny; na wsi do spaceru białych zupełnie nie noszą. Buciki czarne stebnują kolorowym jedwabiem. Po bucikach i pończochach kolorowych następują kolorowe spódniczki. W tym roku noszą je nieco dłuższe jak dawniéj, bo suknie wszystkie podnoszą na sznurki albo spinki. Znacznie jednak musi bydź krótsza spódnica do sukni. Modna dzisiejsza toaleta wygląda dziwacznie, oryginalnie a nawet śmiesznie, w tém właśnie jest cecha nowości. Opiszemy tu ubranie takie całkowite szczegółowo. Spódnica w krateczki białe z pąsowem obszyta u dołu falbanką. Suknia z białéj alpagi obłożona skośną plisą pąsową z białem w kratę, podniesiona w festony. Stanik z długą baskiną frakową na pąsowéj kamizelce z dużemi guzikami z konchy perłowéj. Rękawy żołnierskie z wyłogami. Zegarek w kieszonce od kamizelki przy łańcuszku z brelokami. Rękawiczki stebnowane pąsowym jedwabiem o trzech guzikach. Buciki pąsowe z kwaścikami w pośrodku. Pończochy pąsowe.

Paltociki o trzech szwach na plecach najwięcéj używane, robią je z czarnéj materij, z materjału sukni, albo z korciku letniego w rozmaitych kolorach. Stan oznaczony jest przy nich dosyć krótko, pasmanterja daje się tylko na rękawach, mankietach i czasami w stanie, w około żadnego nie trzeba obszycia. W czasie upałów noszą chustki, burnusy, i paletoty muszlinowe takie same jak suknia. Chustki koronkowe podszywają białą albo lila materją, przez co nabierają większéj sztywności i mają pozór okrycia. Suknie białe nadzwyczaj modne, robią je z kaszmiru, alpagi, muszlinu, perkalu i piki. Ładne też fularowe suknie na białem tle w kolorowe bukieciki albo paski. Do oryginalnéj nowości należy kolor żółty i pąsowy. Wiele widzieć się daje sukien żółtych na spódnicach pąsowych i do tego okrycie pąsowe. Kapelusze krepowe i tiulowe niemają główki ani karczka, zastępuje je rodzaj fanszonu, pod którym swobodnie może bydź warkocz ułożony.

Journal des demoiselles. Suknie z moheru, alpagi, *poil de chèvre* i z *linonu* noszą powszechnie z paltocikami.

W pokoju do takiéj spódniczki ogólnie przyjęte bluzki albo kaftaniczki z białego nanzuku i organtyny z szerokim obrębem na przodzie, z płóciennym kołnierzykiem i takiemiż mankietami, które są stebnowane, haftowane albo tylko garnirowane walansienką.

Do sukien fularowych, bareżowych i gazowych kanzuty powinny być z muszlinu przybrane haftowanemi wstawkami albo z tiulu garnirowane koronką. Chcąc zadosyć uczynić wymaganiom mody co do koloru białego, najpraktyczniejsza podług nas jest suknia biała fularowa w rzucik kolorowy, w paseczki albo kratki. Inne suknie białe potrzebują ciągłego prania i prasowania, co wiele robi zachodu i subiekcij. Na chłodniejsze dnie przygotowano mnóstwo kaftaników *mary-*

narskich, w kolorze granatowym, pąsowym, czarnym i popielatym z guzikami metalowemi. Coraz więcéj zaczynają się upowszechniać pończochy popielate, niewarowe i pąsowe w czarne paseczki; białe używane tylko do strojnego ubrania. Suknie z alpagi i moheru ubierają wstążką układaną w zęby nad obrębem albo u dołu sukni, jest to garnirunek praktyczniejszy od falbanek i ruszy w które się kurz nieznośnie wbija. Czytelniczki nasze niech też pamiętają o częstem wietrzeniu i trzepaniu futer, zachowanie powinno bydź ciemne i suche.

ROZMAITOŚCI.

Kościół Ś. Wojciecha w Krakowie. Zaledwie mogący pomieścić w sobie sto piędziesiąt osób, razem z kaplicą błogosławionego Kadłubka, jest jednym z najstarożytniejszych kościołów Krakowa, założenie jego kronikarze odnoszą do roku około 950. W ołtarzu jest obraz Ś. Wojciecha na tle złoconém malowany w XVII wieku na drzewie; w skarbcu zaś pomiędzy wieloma pamiątkami, znajduje się pacyfikał z drzewem krzyża S. Święty Wojciech w czasie swéj misji apostolskiéj w Krakowie, miał tu przemawiać do ludu i ku czci tego świętego, na gruzach dawniejszéj świątyni pogańskiéj, stanąć tu miała pierwiastkowo skromna kapliczka powiększona późniejszemi dobudowaniami, a któréj dziś pozostały tylko podwaliny części, w któréj znajduje się wielki ołtarz.

Około roku 1225 w kościołku tym kazał S. Jacek: w roku mniéj więcéj 1440 S. Jan z Kapistranu miewał tu kazania pò łacinie i włosku, które późniéj tłumaczono na język ojczysty. Około roku 1650 nawiedzał go codziennie błogosławiony Michał rodem z Wołoszczyzny, laik przy klasztorze Dominikanów Krakowskich, uczony lingwista, oraz słynny rzeźbiarz, mechanik i zegarmistrz.

Patronat należał z początku do biskupów krakowskich, późniéj do Akademji, w końcu zaś wieku XVI, kiedy kościół S. Barbary oddano Jezuitom, bractwo literackie niemieckie z kazaniami przeniesiono do kościołka S. Wojciecha. W 1611 doktór i profesor akademij Walenty Fontani, podniósł walące się mury. W r. 1862 gdy stan kościołka zapowiadał rychłą ruinę, zawiązał się komitet w celu odnowy tak pamiątkowéj budowli. Zebrano więc składki złotych reń. 4724, pokryto cały dach ołowiem i dokonano pilniejsze naprawy. Wydatki jednak przeniosły zebraną z ofiar kwotę i musiano zadłużyć się na rachunek przyszłych wpływów.

Wazy murrchińskie. Zalecały się szczególnie delikatną pracowitą robotą i niezmierną kruchością. Rzymianie bardzo w nich byli rozmiłowani i przywożąc z karamanji lub ze środka Partynei, płacili często za nie po 700,000 Złp. Za jednę Neron zapłacił około 20 miljonów Złp. a Petronjusz minister jego i towarzysz wszelkich uciech skazany na śmierć, stłukł podobną wazę kosztująca go blisko trzech miljonów Złp. jedynie tylko dla tego, żeby się Neronowi do rąk nie dostała.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z popielatego moheru garnirowana zieloną i szafirową wstążeczką. Stanik z oznaczonym kaftaniczkiem. Rotonda odpowiednio przybrana. Kapelusz ryżowy ozdobiony zielonemi piórami, szafirowem skrzydełkiem i czarną koronkową szarfą. — Figura 2. Spódniczka z falbanką z białéj alpagi, przybrana paskiem i szelkami fularowemi. Buciki safjanowe. — Figura 3. Spódniczka wełniana w szafirowe i białe paski, przybrana szafirową plisą z patkami. Kaftanik grecki niedochodzący do stanu. Bluzka półbatystowa. Buciki z szafirowéj pruneli. Siateczka cienka z jedwabiu koloru włosów, ubrana szafirową wstążeczką. — Figura 4. Suknia bareżowa w muszki. Bluzka muszlinowa kapelusz ze słomy belgijskiéj z pawiem piórkiem. Buciki zielone. — Figura 5. *Ubranie chłopczyka.* Kaftanik i majtki z brązowego korciku naszyte bombkami szmuklerskiemi i taśmą. Buciki wysokie.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 29 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 16 Lipca 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Przychodzi w życiu godzina, gdy wszystko czarną się jakąś szatą obleka, nic nie wabi i nic nie bawi, nic nie przestrasza i nie drażni; jest to gorzéj, niż rozpacz, bo zimny sen, zdrętwiałość jakaś, apatja...

To co najwięcéj pociągało dawniéj, ludzie, najpierwsi nam brzydną, otworzyliśmy tyle tych ostryg a wszystkie wśrodku były zgniłe i cuchnące... niektóre z nich najlepsze, świeżo wyglądały na chwilę, psuło je zetknięcie z powietrzem i trochę zastarzenia...

W młodości po za chwytającemi ją zwątpieniami chwilowemi, są przestwory dalekie, na które oko wybiega z ciemności i pociesza się tajemniczemi lazurami widnokręgu... późniéj z za opadłych liści i suchych gałęzi wszędzie tylko śmierć przegląda...

Po ludziach człowiek powątpiewa o dziejach, o sprawiedliwości, o logice wypadków, o sumieniu ogółu... o rozumie w historji, o słuszności w losach... staje się fatalistą.

W dziełach sztuki dostrzega tylko jednostronną ich piękność, a wielostronne ich błędy i niedostatki; w genjuszach ich przerost w kierunku wyłącznym, kosztem pełności władz... we wszystkiém cielesne piętno znikomości i niedoskonałości.

Niema nawet siły pogniewać się na ten rzeczy porządek lub raczéj nieporządek rzeczy, uśmiecha się obojętnie, jak ten co lat kilkadziesiąt odgadnąć usiłuje zagadkę, doszedł tylko że jest nierozwiązalną... bo jest może gmatwaniną bez znaczenia. Zakłada ręce po Napoleńsku, spuszcza głowę na piersi jak aktor grający pogrążonego w dumaniu bohatéra, i uśmiechnąwszy się do własnéj głupoty, czekacierpliwie dzwonka, który mu ostatnią ma wybić godzinę...

Gdy się dojdzie do tego stanu, nie ma już co robić na świecie... ale rozsądek każe dotrwać w przedpokoju wieczności jakiejbądź do końca, nie niecierpliwiąc się, nie zżymając i nie gniewając na zbyt przedłużone oczekiwanie, chociażby je pedogra, reumatyzmy i niedołęztwo w przeciągach nieznośnemi czyniły. Rzadko kto na tę czarną godzinę zbudował sobie chatkę zaciszną i zaoszczędził kożuch ciepły, często ją przychodzi przebywać o głodzie, o chłodzie, na słocie i błocie... sycząc z bólu... nie mnéj potrzeba mieć tyle męztwa żeby nie okazać co się w duszy dzieje. Miłość własna jest wielką pomocą, i zdała się tu, bo kto ukrywa ból, ten go sam sobie zmniejsza; rozpalający się z nim, cierpi więcéj... to pewna.

Ten stan duszy nie jest wyłączną własnością pewnych lat, ani łaską przywiązaną do pewnych temperamentów stępionych na krajaniu twardszego nad nie świata, jest także często epidemiczną chorobą epok i krajów.

W szczęśliwych czasach słabość ta mieni się w spokojną drzemkę poobiednią z uśmiechem na ustach; w godzinach burzy jest to dławiąca zmora uciskająca piersi tysiąca tych, którzy żyć nie umieją i umrzeć nie mogą.

Uwagi te mimowolnie przyjść musiały każdemu kto chwilę popatrzył na fizjogno-

mję mężczyzny podstarzałego, który rzuciwszy swego weturyna na drodze do Pizy, u samych prawie wrót starego grodu, dziś wyglądającego na wielki Cmentarz lub na wielki szpital (jak go Grün nazywa) szedł powoli pieszo do miasta...

Nazwaliśmy go podstarzałym, nie był bowiem starym, widocznie dusza więcéj się w nim zużyła niż ciało, które pozostało krzepkiém, zdrowém i zwiędłem. Mógł miéć lat czterdzieści, pięćdziesiąt do siedmdziesięciu, odgadnąć metryki nikt by nie potrafił, doszedł bowiem tych lat szczęśliwych, które się już nie czytają na twarzy. Z trochą starania oblicze dobrze zachowanego człowieka w tym rodzaju, trwać umie nie grzybiejąc, do ostatniéj słabości i ostatniéj godziny, co je nagle w kościotrup powleczony skórą suchą zamienia.

Któż wie? człowiek ten może był takim od młodości! to pewna że oblicze nosiło piętno mumji, oznajmujące iż go ząb czasu wyszczerbić nie potrafi. Pargaminową okryte skórą, z któréj krew uciekła, nie miało prawie marszczek, bo nie ulegało targaniom namiętności co je tworzy, oczy były szklanne, blade, zimne, wystygłe z życia, usta nieruchome, żaden wyraz oprócz męztwa obojętnego nie charakteryzował rysów marmurowych, pięknych ale nic nie mówiących. Było to coś nakształt maski pośmiertnéj w któréj trudno poznać genjalne rysy wielkiego męża, świadkiem wszystkie odlewy, począwszy od tego, który pokazują w szafce w Wejmarze, przedstawiający niby Schiller'a, aż do przywiezionych ze Ś. Heleny, który rzeźbiarza ręka musiała przerobić aby go uczynić Napoleonem.

Człowieczek ten niewielkiego wzrostu ubrany był skromnie, wygodnie, prawie wykwintnie ale niepokaźnie, szedł pomaleńku jak ktoś co się nie spieszy, któremu wcale nie pilno, co dzień swój kończy nie wyczekując nic od jutra...

Weturyn jadący za nim rad że się dowlókł do oznaczonego miejsca, ciągnął także powoli, zapaliwszy czarne cygaro, rozłamane na dwoje.

Mrok gęsty padać zaczynał, gdy podróżny i jego powóz wsunęli się na ten plac porosły trawą, jak Campo Vaccino, stare rzymskie forum wśród którego stoją trzy pomniki architektury: katedra, baptyssorjum i pochyła wieżyca... nielicząc *Campo Santo*, cmentarza posypanego ziemią przywiezioną z Jerozolimy i popiołami tylu pokoleń...

Zdaleka gorzało tylko niebo włoskie ostatniemi blaskami słońca a odbicie ich ciepłe, oblewało tony harmonijnemi ściany monumentów milczących téj pustyni...

Zwykle jeśli cudzoziemcy nierozbudzą Pizy, śpi ona dniem i nocą, a około tych gmachów które stanowią chwałę jéj, chyba żebrak lub wracające z pola bydło się przesunie.

Tą razą mimo spóźnionéj pory, z wielkiém podziwieniem podróżnego, około żelaznéj kraty zamykającéj *Campo Santo*, panował jakiś ruch niezwyczajny.

Rzadcy przechodnie przesuwający się na drugiéj kończynie pustyni, stawali osłupieli słysząc o téj porze hałas oddalony w stronie starego cmentarza, przechodziły im przez głowę najdziwaczniejsze myśli... i nieumieli niemi nawet wytłumaczyć zgiełku w godzinie, gdy Piza już sobie zwykła życzyć *felicissima notte...*

Oddawna też żaden anglik nie pozwolił sobie zakłócić spokoju tego zakątka tak excentryczném żądaniem, które niesłychane zdumienie wywoływało w nielicznych świadkach osobliwszéj owéj sceny.

Żelazna krata cmentarza naturalnie zamyka się o mroku, żaden z odwiedzających te przecudne galerje, przypatrujących się malowaniom Orcagna, grobowcom i pomnikom, nie przybywa wieczorem dla bardzo prostéj przyczyny, iż nic by tu nie zobaczył, bo i we dnie, wśród jasności i blasków włoskiego nieba, nie nadto tu jest światła. Cóż dopiéro o mroku?

Strażnik téj świątyni pamiątek odchodzi

zawczasu z kluczami i idzie spocząć na łonie familji, zajadając po znojach dnia pracowitego, makaroni z pomidorami... Nawet żebracy którzy czatują na podróżnych u bram kościoła, wieżycy, chrzcielnicy i Campo Santo, opuszczają swe stanowisko nie procentujące już wieczorem. Jedyny tylko we Włoszech pijaczyna, pół warjata, pół opoja, głośno wykrzykujący tam gdzie każdy okrzyk zdaje się nieuszanowaniem dla uroczystego majestatu i spokoju miejsca, przypaźnia się nieco czasami na placu...

Biedną tę istotę widział i pamięta pewnie każdy kto przed laty kilką Pizę odwiedzał. Był to człowieczek ruchawy, krzykliwy, w powszednie dni napiły..., ale nawet na czczo nieprzytomny, bo mu się dawno w głowie pomięszało...

On jeden o zachodzie słońca błądził jeszcze po Pizańskim placu katedralnym, sam z sobą prowadząc bardzo zajmującą rozmowę i na sposób włoski czyniąc ją zrozumialszą, najdziwaczniejszemi rąk, głowy, nóg i całego ciała ruchami, gdy ogromny powóz, wetura najęta widać w Genui koło Porta Pila i wyciągniona z jakiegoś kąta wozowni, w którym lata długie odpoczywała pod pyłem, zaprzężona w trzy konie, ojuczona tłomokami z przodu, z tyłu i z boków, zatrzymała się przed wrotami Campo-Santo...

Dlaczego nie posunęła się nad Arno do hotelów tęskno oczekujących na przybycie gości, czemu stanęła od razu w tém miejscu, było to tajemnicą nieodgadnioną. Zawarty we wnętrzu anglik i jego familja złożona z żony, córki i młodego cienkiego gentlemana, od godziny z wielką pracą i językowemi wysiłki starali się dać zrozumiéć weturynowi, że koniecznie wprost chcą zajechać przed drzwi sławnego cmentarza.

Anglik od pół roku karmił w sobie orygînalny pomysł oglądania Campo-Santo, nie tak jak wszyscy śmiertelni, po białym dniu, z Kradschawem w ręku i liceronem u boku, chciał być jedynym podróżnym o którym te dzienniki głosiły, iż przybył do Pizy, aby sławny cmentarz widziéć przy pochodniach, illuminowany umyślnie dla siebie.

Zrazu rzecz się wydała prawie niemożliwą i niemal niezrozumiałą, tym którym o niéj Sir Price napomknął. Biedny warjat spełniający zwykle ten obowiązek, poleciał zdumiony po stróża, którego od lat dwudziestu w téj porze nikt z podobném dzikiem nie obudził żądaniem. Stróż chciał odłożyć do jutra otwarcie drzwi, ale służący za tłumacza anglikowi włoch genueńczyk, dał mu do zrozumienia iż szło o rzecz nadzwyczajną i nadzwyczajnie opłacić się mogącą. Anglik żądał otwarcia cmentarza i oświetlenia tak aby go oglądać mógł przy pochodniach.

Dziwna ta myśl niepraktykowana, niesłychana, zdała się stróżowi (który machinalnie schwycił był już klucze, pomnąc na *buona mancia* jaką miał zyskać), nieco świętokradzką, trochę rewolucyjną, w ostatku może nawet dla spokoju i bezpieczeństwa mieszkańców Pizy niebezpieczną. Spoglądał na żonę, myślał, drapał się po głowie i niewiedział co począć.

Kilku sąsiadów przywabionych zgiełkiem w mieszkaniu weszło porzuciwszy *morę* i wieczorne makarony, stało i usiłowało zrozumiéć o co chodzi.

Genueńczyk najęty za tłumacza uśmiechał się jako więcéj cywilizowany i przywyklejszy do wszelakich dziwactw człowieka... z powagą męża stanu tłumaczył im Pizanom, że żądanie bogatego Anglika nie miało w sobie nic tak niezwyczajnego, ani straszliwego, że było prostą fantazją turysty, który pragnie wrażeń innych niż powszednie i zużyte... i że miało się opłacić dobremi gwineami...

Argument ostatni był najmocniéj przekonywającym... włosi poczęli szeptać pomiędzy sobą, że koniec końcem rzecz była możliwą... choć dosyć trudną. Gdyby podróżni zwykle zwiedzali Campo Santo wieczorami, stróż miałby zapas pochodni i ludzi po temu... ale zkąd wziąść nagłą illuminacyę, gdy się do niéj nie przygotowało? w całéj Pizie pochodni oprócz tych które towarzy-

szyły niekiedy pogrzebom dostojniejszym, nie było... latarnie także i świece nawet były rzadkością. Starożytna lampka o dwóch lub trzech dziobkach z bawełnianemi knotkami, nawet po hotelach używano i dotąd jasno przypominała stare rzymskie dzieje. A oświecić Campo Santo, tak aby w nich cokolwiek było jasno... nie zdawało się łatwém... korytarze ogromne, ciemne, pochłaniające blask wszelki.

Stróż kiwał głową niewpadając na żadną myśl, a Genuńczyk się niecierpliwił.

— *Accidente*! szeptał pod nosem z gniewu... cóż wy za ludzie jesteście w téj umarłéj Pizie, sami jakby już nieboszczyki... pochodni pożyczyć u księży lub u przedsiębiercy pogrzebów, policzą je na rachunek anglika, do niesienia ich każdy kto parę franków chcę zyskać zdatny być może... płaciemy i płacim dobrze...

Szepty pomiędzy Pizanami którzy zarobku stracić niechcieli dobrą czyniły nadzieję, że się coś przecie sklei... Genueńczyk siadł zmęczony ocierając pot z czoła, a stróż porozsyłał w różne strony usypiającego miasta, po przybory do oświetlenia... Przyszło mu na myśl że dany przykład przez dziwaka anglika mógł być zaraźliwym i napędzić mu zarobku w przyszłości...

Gdy się to dzieje na uboczu, rodzina angielska z flegmą czekając skutku poselstwa genueńczyka rozłożyła się na stopniach u wejścia Campo Santo... Sir Price nawet zapalił cygaro... które więcéj gryzł niż go używał, spoglądając w stronę zkąd się spodziewał stróża i pochodni. Tym czasem traf chciał, by podróżny któregośmy widzieli wchodzącego do Pizy, zatrzymał się także widząc te przybory u cmentarza... było mu obojętném przyjść do hotelu trochę wcześniéj lub późniéj, chciał doczekać się co też to z tych niezrozumiałych przygotowań wyniknie.

Weturyna wysłał przodem abyzajął gdziekolwiek mieszkanie nad Arno a sam przystanął zdala około Baptistorium...

Oprócz niego dzień ten przywiódł o mroku kilku jeszcze podróżnych, którzy się wszyscy w części dla oglądania gmachów przy blasku wieczora, w części dla rozwiązania zagadki tego ruchu tak tu niezwyczajnego zatrzymali.

Anglik nie był z tego nie rad, każda excentryczność potrzebuje świadków, podziwu i rozgłosu, było mu na rękę, że tak mnogich w pustyni widzów zsyłał mu przypadek...

Rodzina angielska, jakieśmy już wspominali, składała się ze Sir Price (Augusta) z syna jego młodego Roberta Price, z pani Florence i panny Marji Price... nieliczącą guwernantki szwajcarki panny Julji Joly, która grała tu w istocie rolę bardzo podrzędną.

Siwy podróżny o pargaminowéj twarzy, który wszedł pieszo do Pizy, był piérwszym z obcych, którego widok tych przyborów zatrzymał zdaleka. Wkrótce po nim idący pieszo, młody ciemnowłosy mężczyzna, wiodący pod rękę kobietę piękną i majestatycznéj postaci, stanął także nie mogąc sobie widać wytłomaczyć tego olśnienia CampoSanto.

Z piérwszego wejrzenia poznać w nim łatwo było Włocha, jeden z tych typów Italji prawie pospolitych ale odznaczających się regularnością rysów energicznych i wybitnych, kruczego włosa, czarnych oczów, wysokiego dość czoła, zbudowany był jak Herkules i widać że czuł swą siłę, jasno patrzało mu ze źrenic płomienistych, a usta prawie z politowaniem uśmiechały się na widok cisnących przy kracie anglików, kobieta którą prowadził pod rękę, równie słusznego wrostu, znakomicie piękna, wyglądała jak przybrany posąg starożytny, który się wyrwał z pod klucza konserwatoryum muzeów Pioklementyńskich. Oboje ubrani po prostu byli widocznie miejscowi i należeli do klassy wykształconéj... Teka pod pachą mężczyzny zdawała się oznaczać artystę, towarzyszka jego miała w ręku koszyk z robotą... Oboje stanęli szepcząc do siebie i czekali...

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie